W izbie panował mrok rozświetlany jedynie ogniem z kominka. Ida przysiadła na stołku. Siwe włosy zasłoniły jej twarz.
Była zmęczona. Bolały ją kolana, oczy same się zamykały. Od czasu do czasu jej ciałem wstrząsał dreszcz. Wilgotne powietrze wdzierało się do środka pomimo zamkniętych okien.
Miała nadzieję, że Stary niedługo wróci. Nie lubiła spać sama, a on od dłuższego czasu wychodził wieczorem i znikał na wiele godzin. Nad ranem padał na łóżko zamroczony alkoholem, w przepoconym ubraniu. Wtedy Ida zasypiała, bo mimo wszystko przy nim czuła się bezpieczniej, zwłaszcza o tej porze roku.
„Już niedługo" – myślała -„jutro będzie pełnia, stanie się to, co musi się stać, a potem Stary zrobi to, co musi zrobić i znowu zacznie sypiać w domu, przy niej. Wszystko będzie dobrze. Stał się nerwowy, jak zwykle przed pierwszą jesienną pełnią, ale to minie. Wszystko będzie dobrze. Niełatwo być grabarzem."
Wiatr wzmógł się, zaczęło padać. Krople deszczu uderzały o szyby, najpierw delikatnie jak palce dziecka, potem coraz mocniej. Ida dołożyła do ognia i owinęła się szczelnie starym kocem. Przysunęła stołek. Powoli wyciągnęła rękę w stronę płomieni, pozwoliła, żeby lizały jej dłoń: delikatnie i pieszczotliwie jak kot. Czuła przyjemne gorąco rozchodzące się po całym ciele. Wreszcie wyjęła rękę z kominka. Przyglądała się jej uważnie, ale nie dostrzegła nic oprócz pomarszczonej, okrytej żyłami żółtej skóry. Jak zwykle. Żadnych poparzeń. „Ale i tak mi zimno. I tak chce mi się jeść. Nie za dużo, za mało, żeby zabić, akurat tyle, żebym wiedziała, że nie umarłam. O to chodzi? Żebyśmy nie powariowali?" – Myślała, kołysząc się lekko. Nasłuchiwała. Czasem zdawało się jej, że słyszy kroki Starego na ścieżce, lecz to tylko wicher zawodził. „Pochrzaniona jesień." – Obejrzała się odruchowo, jej matka nie lubiła, kiedy córka używała takich słów. Ale matki nie było. Tylko Ida i mrok. I myszy. Buruś spał na krześle, więc myszy mogły buszować w spiżarni do upadłego.
Dochodziła północ, kiedy Stary wrócił. Ida leżała już w łóżku. Mąż położył się obok i momentalnie zasnął. Bez słowa. Bez „dobranoc." Jakby nie łączyły ich minione dni i noce.
Rano wstała wcześnie. Nie potrzebowała wiele snu. Usiadła na ławeczce przed domem. Słońce ledwo przebijało się przez wilgotną mgłę, otulającą miasto. Ta mgła była tu od lat: pełzała po otaczającym miasto murze, zakrywała horyzont, odgradzając ich na zawsze od świata, wciskała się w każdy kąt, osiadała na szybach. Ida prawie zapomniała jak wygląda czyste, błękitne niebo w bezchmurny dzień. Buruś pojawił się nagle nie wiadomo, skąd. Wskoczył kobiecie na kolana, mrucząc łasił się, w końcu zasnął zwinięty w kłębek. Głaskała delikatnie miękkie futerko. Dobrze im było razem.
Nagle z mgły wynurzyła się jakaś postać. Chuda, dość wysoka dziewczyna szła powoli ulicą. Gdy zobaczyła Idę, zbliżyła się i usiadła obok na ławeczce. Pogłaskała kota, który zamruczał przyjaźnie. Miała na sobie tylko cienką sukienkę, więc drżała nieco z zimna. Jasne włosy splotła w warkocz, wymykały się z niego pojedyncze kosmyki.
Ida przyglądała się dziewczynie w milczeniu. Dostrzegła spory siniak na czole oraz rozciętą wargę.
- Znowu próbowałaś? – zapytała. Dziewczyna nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko i dalej głaskała Burusia.
- Co tym razem? Skakałaś? – Ida usłyszała tylko ciche westchnienie.
- Przecież wiesz, że to nie ma sensu. Musisz czekać na swoją kolej. W końcu na każdego przyjdzie czas. Trzeba czekać – powtórzyła opierając głowę o ścianę. Poczuła się nagle bardzo zmęczona.
- Wiem. Ale myślałam… że może tym razem…
- Niedługo pełnia.

- Wiem.
Siedziały tak, jedna obok drugiej, podczas gdy słońce wznosiło się coraz wyżej. Od czasu do czasu skądś dobiegł głośny płacz albo chrapliwy śmiech, ale one nie zwracały na to uwagi.
- Lubię ranki – szepnęła młodsza. Oparła głowę o ramię towarzyszki. Mówiła cicho, jakby do siebie. Ida nie odpowiedziała, patrzyła na zasnute mgłą niebo. Czekała. Całe miasto czekało. Dzisiaj wraz z nocą przyjdzie Śmierć.
Drzwi otworzyły się i stanął w nich mąż Idy.
- Co tu robisz Oris? Wracaj do domu! – Dziewczyna nie odpowiedziała, wstała i poszła przed siebie niespiesznie. Stary wpatrywał się w nią, dopóki nie zniknęła za rogiem. Ida westchnęła. Stary bywał czasem tak beznadziejnie uparty i gburowaty. Inny niż kiedyś, dawno, dawno temu.
Usiadł na ławeczce. Skulił się, choć słońce wznosiło się coraz wyżej i zrobiło się cieplej. Ida pomyślała, że wyglądają jak dwa stare grzyby: olbrzymie, toczone przez robaki, lecz uparcie trzymające się tego, co nazywały życiem.
Buruś wstał, wygiął grzbiet, zeskoczył Idzie z kolan i pobiegł w tylko sobie znanym kierunku. Należało zrobić śniadanie.
Ida nie mogła wytrzymać w domu. Szła ulicą, przypatrując się uważnie wszystkiemu: kto wie może idzie tędy ostatni raz? Jednakowe uliczki pełne niemal identycznych budynków, ciemne, przybrudzone szyby, pajęczyny. Ptaki uwiły wiosną na parapetach gniazda, teraz, zapomniane, wysuszone tkwiły na swoich miejscach, czekając na powrót właścicieli.
Gdzieniegdzie grupki młodzieży robiły rzeczy, których matka Idy z pewnością by nie pochwaliła, więc Ida przyspieszyła kroku.
Spojrzała w górę. Słońce świeciło mocno. Dzień byłby bardzo pogodny, gdyby nie ta mgła. Pamiętała czasy, kiedy niebo bywało błękitne i przejrzyste, a po mieście krążyli kupcy z całego świata. Ulice wypełniał gwar oraz różne zapachy, wtedy istniała jeszcze przyszłość.
Teraz nie było przeszłości ani czasu. Idzie zdawało się niekiedy, że miasta też już nie było, że to, co mijała codziennie rano, zmierzając na targ, to tylko dekoracje. Wystarczy silniejszy podmuch a mury się rozpadną.
Mgła pojawiła się pewnego ranka, kiedy Ida miała jakieś trzy, cztery lata. Zniknęli kupcy. Zniknęła też śmierć. To znaczy ludzie przestali umierać przed pierwszą jesienną pełnią. Nie chorowali. Jedli chyba tylko z przyzwyczajenia. A kiedy zaczynała się jesień, umierała jedna osoba. Podczas pierwszej pełni wiosennej rodziło się jedno dziecko. Nikt nie wiedział, dlaczego. Niektórzy mówili, że to kara. Wyobrażali sobie Śmierć jako szkielet okryty łachmanami oraz resztkami skóry. Ich przeciwnicy, Morteiści – Czciciele Śmierci, twierdzili, iż Śmierć to piękna pani okryta czarnym aksamitnym suknem. Wybrała ich miasto, by w nim królować. I rzeczywiście, odkąd zabierała tylko jednego obywatela raz w roku, stała się władczynią umysłów mieszkańców miasta, ich jedyną boginią, potężniejszą, niż wtedy, kiedy nadchodziła znienacka. Wtedy była postrachem, motorem ludzkiego działania. Teraz, po wielu latach, a może stuleciach (od dawna nikt nie mierzył upływu czasu), życie stało się nudne i szare jak nieskończenie długi jesienny dzień. Śmierć stała się wybawieniem, jedyną nadzieją. Stała się wszystkim.
Minęło południe, Ida jednak nie czuła głodu. Szła przed siebie, nie pilnując kierunku, bo nie zmierzała do żadnego celu. Dlatego cofnęła się gwałtownie, gdy rzucona przez kogoś butelka rozbiła się tuż przed nią o ceglany murek. Huk tłuczonego szkła, spłoszone wróble, woń marnego alkoholu rozlanego na bruku. Na ziemi siedział mężczyzna, jeszcze nie stary i patrzył na Idę przekrwionymi oczami. Twarz miał jakąś taką nieokreśloną, przypominał stracha na wróble albo kukiełkę, jakby jego dusza dawno uciekła, pozostawiając jedynie pustą skorupę. Ida minęła go bez słowa.
Nieopodal rynku natknęła się na procesję Morteistów. Mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, owinięci szczelnie płaszczami, z kapturami nasuniętymi na oczy. Szli ulicami, patrząc przed siebie, obojętni, przypominali trochę ożywione posągi. Kroczyli powoli, jedno obok drugiego, mamrocząc modlitwy. Zdawało

się, że stali się wszyscy jedną istotą, ogromną gąsienicą, tak ściśle byli ze sobą złączeni. Kobieta odeszła na bok, żeby ich przepuścić. Kiedy procesja kręciła w jedną z bocznych uliczek, Ida postanowiła wrócić do domu.
Wracała do siebie, do Starego i do Burusia, który pewnie grzał się przy kominku. Słońce zachodziło. Zmieniło kolor z żółtego na pomarańczowy: wkrótce zniknie za horyzontem, zabarwiając niebo krwawą poświatą. Wzejdzie księżyc.
Dom był pusty. Nawet Buruś gdzieś przepadł. Chłód oraz półmrok panujące w izbie zniechęcały do wejścia. Należało rozpalić ogień, ugotować kolację. I czekać. Ida wykonała wszystkie te czynności mechaniczne, nie zastanawiając się nad tym, co robi. Kiedy skończyła, wyszła na ulicę. Stała przed domem, rozglądając się niepewnie. Mgła ograniczała widoczność. Doleciał do niej monotonny śpiew Morteistów, widziała światła ich pochodni, niewyraźne, jakby stłumione. Słyszała brzęk tłuczonego szkła. Ulicą przemknęły cicho dwie postacie wtulone w siebie, szepczące ukradkiem jakieś słowa.
Kiedy Śmierć przyszła po mamę, noc była taka sama, pomyślała, prawie bezwietrzna, chłodna. Ludzie modlili się, pili, kochali i klęli a ja byłam sama. I wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że to wszystko nie jest prawdziwe. My i ta mgła i to cholerne miasto. Nie ma czasu, bo czas to przemijanie, rozpad, a my nie przemijamy tak naprawdę. A może jest inaczej, może tylko my istniejemy, a świata już nie ma? Ale kogo to obchodzi? Kiedyś ktoś, nie pamiętam, kto, wyszedł poza bramy miasta i nie wrócił. Zniknął we mgle. Radni zamknęli bramy i ukryli klucze. Co się stało z tamtym człowiekiem? Zginął? Żyje? Dla nas to bez znaczenia. Zniknął i już. Więc może tam już nic nie ma? Mam dość. Jestem zmęczona.
Mijały godziny. Ida czekała. Stary nie wracał.
Znalazła go o świcie przy świeżo wykopanym grobie. Leżał na wznak, z łopatą w dłoni. Trumna stała obok. Jakby Śmierć tym razem chciała oszczędzić im pracy.
Zakopali go. Grudki ziemi głucho uderzały o wieko trumny. Obecne było całe miasto. Gudrik, Gudrik, czemu odszedłeś? Czemu to ciebie wybrała?
- Niektórzy mówią, że Śmierć musi być straszna i potężna. Ale ja myślę, że przypomina starą kobietę robiącą zakupy na targu. Kiedy znajdzie to, czego szukała, zabiera to i odchodzi. – Oris podeszła do Idy i objęła ją ramieniem. Ida spojrzała na Atę, córkę sąsiadów, która była w ciąży. „To się nigdy nie skończy.” Omal się nie roześmiała. „To się nigdy nie skończy.”
Po skończonej ceremonii ludzie rozeszli się do domów. Tonęli we mgle, gęstszej niż zwykle, przypominali cienie na ścianie znikające, kiedy zgaśnie ogień.
Wkrótce przy grobie została tylko Ida. Nie czekała na nic, po prostu nie miała dość siły, by odejść. Mgła wirowała wokół niej, przesłoniła wszystko: domy, mur, niebo. Miasto zniknęło.

W izbie panował mrok rozświetlany jedynie ogniem z kominka. Ida przysiadła na stołku. Siwe włosy zasłoniły jej twarz.
Była zmęczona. Bolały ją kolana, oczy same się zamykały. Od czasu do czasu jej ciałem wstrząsał dreszcz. Wilgotne powietrze wdzierało się do środka pomimo zamkniętych okien.
Miała nadzieję, że Stary niedługo wróci. Nie lubiła spać sama, a on od dłuższego czasu wychodził wieczorem i znikał na wiele godzin. Nad ranem padał na łóżko zamroczony alkoholem, w przepoconym ubraniu. Wtedy Ida zasypiała, bo mimo wszystko przy nim czuła się bezpieczniej, zwłaszcza o tej porze roku.
„Już niedługo” – myślała -„jutro będzie pełnia, stanie się to, co musi się stać, a potem Stary zrobi to, co musi zrobić i znowu zacznie sypiać w domu, przy niej. Wszystko będzie dobrze. Stał się nerwowy, jak

zwykle przed pierwszą jesienną pełnią, ale to minie. Wszystko będzie dobrze. Niełatwo być grabarzem."
Wiatr wzmógł się, zaczęło padać. Krople deszczu uderzały o szyby, najpierw delikatnie jak palce dziecka, potem coraz mocniej. Ida dołożyła do ognia i owinęła się szczelnie starym kocem. Przysunęła stołek. Powoli wyciągnęła rękę w stronę płomieni, pozwoliła, żeby lizały jej dłoń: delikatnie i pieszczotliwie jak kot. Czuła przyjemne gorąco rozchodzące się po całym ciele. Wreszcie wyjęła rękę z kominka. Przyglądała się jej uważnie, ale nie dostrzegła nic oprócz pomarszczonej, okrytej żyłami żółtej skóry. Jak zwykle. Żadnych poparzeń. „Ale i tak mi zimno. I tak chce mi się jeść. Nie za dużo, za mało, żeby zabić, akurat tyle, żebym wiedziała, że nie umarłam. O to chodzi? Żebyśmy nie powariowali?" – Myślała, kołysząc się lekko. Nasłuchiwała. Czasem zdawało się jej, że słyszy kroki Starego na ścieżce, lecz to tylko wicher zawodził. „Pochrzaniona jesień." – Obejrzała się odruchowo, jej matka nie lubiła, kiedy córka używała takich słów. Ale matki nie było. Tylko Ida i mrok. I myszy. Buruś spał na krześle, więc myszy mogły buszować w spiżarni do upadłego.
Dochodziła północ, kiedy Stary wrócił. Ida leżała już w łóżku. Mąż położył się obok i momentalnie zasnął. Bez słowa. Bez „dobranoc." Jakby nie łączyły ich minione dni i noce.
Rano wstała wcześnie. Nie potrzebowała wiele snu. Usiadła na ławeczce przed domem. Słońce ledwo przebijało się przez wilgotną mgłę, otulającą miasto. Ta mgła była tu od lat: pełzała po otaczającym miasto murze, zakrywała horyzont, odgradzając ich na zawsze od świata, wciskała się w każdy kąt, osiadała na szybach. Ida prawie zapomniała jak wygląda czyste, błękitne niebo w bezchmurny dzień. Buruś pojawił się nagle nie wiadomo, skąd. Wskoczył kobiecie na kolana, mrucząc łasił się, w końcu zasnął zwinięty w kłębek. Głaskała delikatnie miękkie futerko. Dobrze im było razem.
Nagle z mgły wynurzyła się jakaś postać. Chuda, dość wysoka dziewczyna szła powoli ulicą. Gdy zobaczyła Idę, zbliżyła się i usiadła obok na ławeczce. Pogłaskała kota, który zamruczał przyjaźnie. Miała na sobie tylko cienką sukienkę, więc drżała nieco z zimna. Jasne włosy splotła w warkocz, wymykały się z niego pojedyncze kosmyki.
Ida przyglądała się dziewczynie w milczeniu. Dostrzegła spory siniak na czole oraz rozciętą wargę.
- Znowu próbowałaś? – zapytała. Dziewczyna nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko i dalej głaskała Burusia.
- Co tym razem? Skakałaś? – Ida usłyszała tylko ciche westchnienie.
- Przecież wiesz, że to nie ma sensu. Musisz czekać na swoją kolej. W końcu na każdego przyjdzie czas. Trzeba czekać – powtórzyła opierając głowę o ścianę. Poczuła się nagle bardzo zmęczona.
- Wiem. Ale myślałam… że może tym razem…
- Niedługo pełnia.
- Wiem.
Siedziały tak, jedna obok drugiej, podczas gdy słońce wznosiło się coraz wyżej. Od czasu do czasu skądś dobiegł głośny płacz albo chrapliwy śmiech, ale one nie zwracały na to uwagi.
- Lubię ranki – szepnęła młodsza. Oparła głowę o ramię towarzyszki. Mówiła cicho, jakby do siebie. Ida nie odpowiedziała, patrzyła na zasnute mgłą niebo. Czekała. Całe miasto czekało. Dzisiaj wraz z nocą przyjdzie Śmierć.
Drzwi otworzyły się i stanął w nich mąż Idy.
- Co tu robisz Oris? Wracaj do domu! – Dziewczyna nie odpowiedziała, wstała i poszła przed siebie niespiesznie. Stary wpatrywał się w nią, dopóki nie zniknęła za rogiem. Ida westchnęła. Stary bywał czasem tak beznadziejnie uparty i gburowaty. Inny niż kiedyś, dawno, dawno temu.
Usiadł na ławeczce. Skulił się, choć słońce wznosiło się coraz wyżej i zrobiło się cieplej. Ida pomyślała, że wyglądają jak dwa stare grzyby: olbrzymie, toczone przez robaki, lecz uparcie trzymające się tego, co nazywały życiem.
Buruś wstał, wygiął grzbiet, zeskoczył Idzie z kolan i pobiegł w tylko sobie znanym kierunku. Należało zrobić śniadanie.

Ida nie mogła wytrzymać w domu. Szła ulicą, przypatrując się uważnie wszystkiemu: kto wie może idzie tędy ostatni raz? Jednakowe uliczki pełne niemal identycznych budynków, ciemne, przybrudzone szyby, pajęczyny. Ptaki uwiły wiosną na parapetach gniazda, teraz, zapomniane, wysuszone tkwiły na swoich miejscach, czekając na powrót właścicieli.
Gdzieniegdzie grupki młodzieży robiły rzeczy, których matka Idy z pewnością by nie pochwaliła, więc Ida przyspieszyła kroku.
Spojrzała w górę. Słońce świeciło mocno. Dzień byłby bardzo pogodny, gdyby nie ta mgła. Pamiętała czasy, kiedy niebo bywało błękitne i przejrzyste, a po mieście krążyli kupcy z całego świata. Ulice wypełniał gwar oraz różne zapachy, wtedy istniała jeszcze przyszłość.
Teraz nie było przeszłości ani czasu. Idzie zdawało się niekiedy, że miasta też już nie było, że to, co mijała codziennie rano, zmierzając na targ, to tylko dekoracje. Wystarczy silniejszy podmuch a mury się rozpadną.
Mgła pojawiła się pewnego ranka, kiedy Ida miała jakieś trzy, cztery lata. Zniknęli kupcy. Zniknęła też śmierć. To znaczy ludzie przestali umierać przed pierwszą jesienną pełnią. Nie chorowali. Jedli chyba tylko z przyzwyczajenia. A kiedy zaczynała się jesień, umierała jedna osoba. Podczas pierwszej pełni wiosennej rodziło się jedno dziecko. Nikt nie wiedział, dlaczego. Niektórzy mówili, że to kara. Wyobrażali sobie Śmierć jako szkielet okryty łachmanami oraz resztkami skóry. Ich przeciwnicy, Morteiści – Czciciele Śmierci, twierdzili, iż Śmierć to piękna pani okryta czarnym aksamitnym suknem. Wybrała ich miasto, by w nim królować. I rzeczywiście, odkąd zabierała tylko jednego obywatela raz w roku, stała się władczynią umysłów mieszkańców miasta, ich jedyną boginią, potężniejszą, niż wtedy, kiedy nadchodziła znienacka. Wtedy była postrachem, motorem ludzkiego działania. Teraz, po wielu latach, a może stuleciach (od dawna nikt nie mierzył upływu czasu), życie stało się nudne i szare jak nieskończenie długi jesienny dzień. Śmierć stała się wybawieniem, jedyną nadzieją. Stała się wszystkim.
Minęło południe, Ida jednak nie czuła głodu. Szła przed siebie, nie pilnując kierunku, bo nie zmierzała do żadnego celu. Dlatego cofnęła się gwałtownie, gdy rzucona przez kogoś butelka rozbiła się tuż przed nią o ceglany murek. Huk tłuczonego szkła, spłoszone wróble, woń marnego alkoholu rozlanego na bruku. Na ziemi siedział mężczyzna, jeszcze nie stary i patrzył na Idę przekrwionymi oczami. Twarz miał jakąś taką nieokreśloną, przypominał stracha na wróble albo kukiełkę, jakby jego dusza dawno uciekła, pozostawiając jedynie pustą skorupę. Ida minęła go bez słowa.
Nieopodal rynku natknęła się na procesję Morteistów. Mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, owinięci szczelnie płaszczami, z kapturami nasuniętymi na oczy. Szli ulicami, patrząc przed siebie, obojętni, przypominali trochę ożywione posągi. Kroczyli powoli, jedno obok drugiego, mamrocząc modlitwy. Zdawało się, że stali się wszyscy jedną istotą, ogromną gąsienicą, tak ściśle byli ze sobą złączeni. Kobieta odeszła na bok, żeby ich przepuścić. Kiedy procesja kręciła w jedną z bocznych uliczek, Ida postanowiła wrócić do domu.
Wracała do siebie, do Starego i do Burusia, który pewnie grzał się przy kominku. Słońce zachodziło. Zmieniło kolor z żółtego na pomarańczowy: wkrótce zniknie za horyzontem, zabarwiając niebo krwawą poświatą. Wzejdzie księżyc.
Dom był pusty. Nawet Buruś gdzieś przepadł. Chłód oraz półmrok panujące w izbie zniechęcały do wejścia. Należało rozpalić ogień, ugotować kolację. I czekać. Ida wykonała wszystkie te czynności mechaniczne, nie zastanawiając się nad tym, co robi. Kiedy skończyła, wyszła na ulicę. Stała przed domem, rozglądając się niepewnie. Mgła ograniczała widoczność. Doleciał do niej monotonny śpiew Morteistów, widziała światła ich pochodni, niewyraźne, jakby stłumione. Słyszała brzęk tłuczonego szkła. Ulicą przemknęły cicho dwie postacie wtulone w siebie, szepczące ukradkiem jakieś słowa.
Kiedy Śmierć przyszła po mamę, noc była taka sama, pomyślała, prawie bezwietrzna, chłodna. Ludzie modlili się, pili, kochali i klęli a ja byłam sama. I wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że to wszystko nie jest prawdziwe. My i ta mgła i to cholerne miasto. Nie ma czasu, bo czas to przemijanie, rozpad, a my nie

przemijamy tak naprawdę. A może jest inaczej, może tylko my istniejemy, a świata już nie ma? Ale kogo to obchodzi? Kiedyś ktoś, nie pamiętam, kto, wyszedł poza bramy miasta i nie wrócił. Zniknął we mgle. Radni zamknęli bramy i ukryli klucze. Co się stało z tamtym człowiekiem? Zginął? Żyje? Dla nas to bez znaczenia. Zniknął i już. Więc może tam już nic nie ma? Mam dość. Jestem zmęczona.
Mijały godziny. Ida czekała. Stary nie wracał.
Znalazła go o świcie przy świeżo wykopanym grobie. Leżał na wznak, z łopatą w dłoni. Trumna stała obok. Jakby Śmierć tym razem chciała oszczędzić im pracy.
Zakopali go. Grudki ziemi głucho uderzały o wieko trumny. Obecne było całe miasto. Gudrik, Gudrik, czemu odszedłeś? Czemu to ciebie wybrała?
- Niektórzy mówią, że Śmierć musi być straszna i potężna. Ale ja myślę, że przypomina starą kobietę robiącą zakupy na targu. Kiedy znajdzie to, czego szukała, zabiera to i odchodzi. – Oris podeszła do Idy i objęła ją ramieniem. Ida spojrzała na Atę, córkę sąsiadów, która była w ciąży. ,,To się nigdy nie skończy.” Omal się nie roześmiała. ,,To się nigdy nie skończy.”
Po skończonej ceremonii ludzie rozeszli się do domów. Tonęli we mgle, gęstszej niż zwykle, przypominali cienie na ścianie znikające, kiedy zgaśnie ogień.
Wkrótce przy grobie została tylko Ida. Nie czekała na nic, po prostu nie miała dość siły, by odejść. Mgła wirowała wokół niej, przesłoniła wszystko: domy, mur, niebo. Miasto zniknęło.

W izbie panował mrok rozświetlany jedynie ogniem z kominka. Ida przysiadła na stołku. Siwe włosy zasłoniły jej twarz.
Była zmęczona. Bolały ją kolana, oczy same się zamykały. Od czasu do czasu jej ciałem wstrząsał dreszcz. Wilgotne powietrze wdzierało się do środka pomimo zamkniętych okien.
Miała nadzieję, że Stary niedługo wróci. Nie lubiła spać sama, a on od dłuższego czasu wychodził wieczorem i znikał na wiele godzin. Nad ranem padał na łóżko zamroczony alkoholem, w przepoconym ubraniu. Wtedy Ida zasypiała, bo mimo wszystko przy nim czuła się bezpieczniej, zwłaszcza o tej porze roku.
„Już niedługo” – myślała -,,jutro będzie pełnia, stanie się to, co musi się stać, a potem Stary zrobi to, co musi zrobić i znowu zacznie sypiać w domu, przy niej. Wszystko będzie dobrze. Stał się nerwowy, jak zwykle przed pierwszą jesienną pełnią, ale to minie. Wszystko będzie dobrze. Niełatwo być grabarzem.”
Wiatr wzmógł się, zaczęło padać. Krople deszczu uderzały o szyby, najpierw delikatnie jak palce dziecka, potem coraz mocniej. Ida dołożyła do ognia i owinęła się szczelnie starym kocem. Przysunęła stołek. Powoli wyciągnęła rękę w stronę płomieni, pozwoliła, żeby lizały jej dłoń: delikatnie i pieszczotliwie jak kot. Czuła przyjemne gorąco rozchodzące się po całym ciele. Wreszcie wyjęła rękę z kominka. Przyglądała się jej uważnie, ale nie dostrzegła nic oprócz pomarszczonej, okrytej żyłami żółtej skóry. Jak zwykle. Żadnych poparzeń. „Ale i tak mi zimno. I tak chce mi się jeść. Nie za dużo, za mało, żeby zabić, akurat tyle, żebym wiedziała, że nie umarłam. O to chodzi? Żebyśmy nie powariowali?” – Myślała, kołysząc się lekko. Nasłuchiwała. Czasem zdawało się jej, że słyszy kroki Starego na ścieżce, lecz to tylko wicher zawodził. „Pochrzaniona jesień.” – Obejrzała się odruchowo, jej matka nie lubiła, kiedy córka używała takich słów. Ale matki nie było. Tylko Ida i mrok. I myszy. Buruś spał na krześle, więc myszy mogły buszować w spiżarni do upadłego.
Dochodziła północ, kiedy Stary wrócił. Ida leżała już w łóżku. Mąż położył się obok i momentalnie zasnął. Bez słowa. Bez „dobranoc.” Jakby nie łączyły ich minione dni i noce.
Rano wstała wcześnie. Nie potrzebowała wiele snu. Usiadła na ławeczce przed domem. Słońce ledwo

przebijało się przez wilgotną mgłę, otulającą miasto. Ta mgła była tu od lat: pełzała po otaczającym miasto murze, zakrywała horyzont, odgradzając ich na zawsze od świata, wciskała się w każdy kąt, osiadała na szybach. Ida prawie zapomniała jak wygląda czyste, błękitne niebo w bezchmurny dzień. Buruś pojawił się nagle nie wiadomo, skąd. Wskoczył kobiecie na kolana, mrucząc łasił się, w końcu zasnął zwinięty w kłębek. Głaskała delikatnie miękkie futerko. Dobrze im było razem.
Nagle z mgły wynurzyła się jakaś postać. Chuda, dość wysoka dziewczyna szła powoli ulicą. Gdy zobaczyła Idę, zbliżyła się i usiadła obok na ławeczce. Pogłaskała kota, który zamruczał przyjaźnie. Miała na sobie tylko cienką sukienkę, więc drżała nieco z zimna. Jasne włosy splotła w warkocz, wymykały się z niego pojedyncze kosmyki.
Ida przyglądała się dziewczynie w milczeniu. Dostrzegła spory siniak na czole oraz rozciętą wargę.
- Znowu próbowałaś? – zapytała. Dziewczyna nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko i dalej głaskała Burusia.
- Co tym razem? Skakałaś? – Ida usłyszała tylko ciche westchnienie.
- Przecież wiesz, że to nie ma sensu. Musisz czekać na swoją kolej. W końcu na każdego przyjdzie czas. Trzeba czekać – powtórzyła opierając głowę o ścianę. Poczuła się nagle bardzo zmęczona.
- Wiem. Ale myślałam… że może tym razem…
- Niedługo pełnia.
- Wiem.
Siedziały tak, jedna obok drugiej, podczas gdy słońce wznosiło się coraz wyżej. Od czasu do czasu skądś dobiegł głośny płacz albo chrapliwy śmiech, ale one nie zwracały na to uwagi.
- Lubię ranki – szepnęła młodsza. Oparła głowę o ramię towarzyszki. Mówiła cicho, jakby do siebie. Ida nie odpowiedziała, patrzyła na zasnute mgłą niebo. Czekała. Całe miasto czekało. Dzisiaj wraz z nocą przyjdzie Śmierć.
Drzwi otworzyły się i stanął w nich mąż Idy.
- Co tu robisz Oris? Wracaj do domu! – Dziewczyna nie odpowiedziała, wstała i poszła przed siebie niespiesznie. Stary wpatrywał się w nią, dopóki nie zniknęła za rogiem. Ida westchnęła. Stary bywał czasem tak beznadziejnie uparty i gburowaty. Inny niż kiedyś, dawno, dawno temu.
Usiadł na ławeczce. Skulił się, choć słońce wznosiło się coraz wyżej i zrobiło się cieplej. Ida pomyślała, że wyglądają jak dwa stare grzyby: olbrzymie, toczone przez robaki, lecz uparcie trzymające się tego, co nazywały życiem.
Buruś wstał, wygiął grzbiet, zeskoczył Idzie z kolan i pobiegł w tylko sobie znanym kierunku. Należało zrobić śniadanie.
Ida nie mogła wytrzymać w domu. Szła ulicą, przypatrując się uważnie wszystkiemu: kto wie może idzie tędy ostatni raz? Jednakowe uliczki pełne niemal identycznych budynków, ciemne, przybrudzone szyby, pajęczyny. Ptaki uwiły wiosną na parapetach gniazda, teraz, zapomniane, wysuszone tkwiły na swoich miejscach, czekając na powrót właścicieli.
Gdzieniegdzie grupki młodzieży robiły rzeczy, których matka Idy z pewnością by nie pochwaliła, więc Ida przyspieszyła kroku.
Spojrzała w górę. Słońce świeciło mocno. Dzień byłby bardzo pogodny, gdyby nie ta mgła. Pamiętała czasy, kiedy niebo bywało błękitne i przejrzyste, a po mieście krążyli kupcy z całego świata. Ulice wypełniał gwar oraz różne zapachy, wtedy istniała jeszcze przyszłość.
Teraz nie było przeszłości ani czasu. Idzie zdawało się niekiedy, że miasta też już nie było, że to, co mijała codziennie rano, zmierzając na targ, to tylko dekoracje. Wystarczy silniejszy podmuch a mury się rozpadną.
Mgła pojawiła się pewnego ranka, kiedy Ida miała jakieś trzy, cztery lata. Zniknęli kupcy. Zniknęła też śmierć. To znaczy ludzie przestali umierać przed pierwszą jesienną pełnią. Nie chorowali. Jedli chyba tylko z przyzwyczajenia. A kiedy zaczynała się jesień, umierała jedna osoba. Podczas pierwszej pełni wio-

sennej rodziło się jedno dziecko. Nikt nie wiedział, dlaczego. Niektórzy mówili, że to kara. Wyobrażali sobie Śmierć jako szkielet okryty łachmanami oraz resztkami skóry. Ich przeciwnicy, Morteiści – Czciciele Śmierci, twierdzili, iż Śmierć to piękna pani okryta czarnym aksamitnym suknem. Wybrała ich miasto, by w nim królować. I rzeczywiście, odkąd zabierała tylko jednego obywatela raz w roku, stała się władczynią umysłów mieszkańców miasta, ich jedyną boginią, potężniejszą, niż wtedy, kiedy nadchodziła znienacka. Wtedy była postrachem, motorem ludzkiego działania. Teraz, po wielu latach, a może stuleciach (od dawna nikt nie mierzył upływu czasu), życie stało się nudne i szare jak nieskończenie długi jesienny dzień. Śmierć stała się wybawieniem, jedyną nadzieją. Stała się wszystkim.
Minęło południe, Ida jednak nie czuła głodu. Szła przed siebie, nie pilnując kierunku, bo nie zmierzała do żadnego celu. Dlatego cofnęła się gwałtownie, gdy rzucona przez kogoś butelka rozbiła się tuż przed nią o ceglany murek. Huk tłuczonego szkła, spłoszone wróble, woń marnego alkoholu rozlanego na bruku. Na ziemi siedział mężczyzna, jeszcze nie stary i patrzył na Idę przekrwionymi oczami. Twarz miał jakąś taką nieokreśloną, przypominał stracha na wróble albo kukiełkę, jakby jego dusza dawno uciekła, pozostawiając jedynie pustą skorupę. Ida minęła go bez słowa.
Nieopodal rynku natknęła się na procesję Morteistów. Mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, owinięci szczelnie płaszczami, z kapturami nasuniętymi na oczy. Szli ulicami, patrząc przed siebie, obojętni, przypominali trochę ożywione posągi. Kroczyli powoli, jedno obok drugiego, mamrocząc modlitwy. Zdawało się, że stali się wszyscy jedną istotą, ogromną gąsienicą, tak ściśle byli ze sobą złączeni. Kobieta odeszła na bok, żeby ich przepuścić. Kiedy procesja kręciła w jedną z bocznych uliczek, Ida postanowiła wrócić do domu.
Wracała do siebie, do Starego i do Burusia, który pewnie grzał się przy kominku. Słońce zachodziło. Zmieniło kolor z żółtego na pomarańczowy: wkrótce zniknie za horyzontem, zabarwiając niebo krwawą poświatą. Wzejdzie księżyc.
Dom był pusty. Nawet Buruś gdzieś przepadł. Chłód oraz półmrok panujące w izbie zniechęcały do wejścia. Należało rozpalić ogień, ugotować kolację. I czekać. Ida wykonała wszystkie te czynności mechaniczne, nie zastanawiając się nad tym, co robi. Kiedy skończyła, wyszła na ulicę. Stała przed domem, rozglądając się niepewnie. Mgła ograniczała widoczność. Doleciał do niej monotonny śpiew Morteistów, widziała światła ich pochodni, niewyraźne, jakby stłumione. Słyszała brzęk tłuczonego szkła. Ulicą przemknęły cicho dwie postacie wtulone w siebie, szepczące ukradkiem jakieś słowa.
Kiedy Śmierć przyszła po mamę, noc była taka sama, pomyślała, prawie bezwietrzna, chłodna. Ludzie modlili się, pili, kochali i klęli a ja byłam sama. I wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że to wszystko nie jest prawdziwe. My i ta mgła i to cholerne miasto. Nie ma czasu, bo czas to przemijanie, rozpad, a my nie przemijamy tak naprawdę. A może jest inaczej, może tylko my istniejemy, a świata już nie ma? Ale kogo to obchodzi? Kiedyś ktoś, nie pamiętam, kto, wyszedł poza bramy miasta i nie wrócił. Zniknął we mgle. Radni zamknęli bramy i ukryli klucze. Co się stało z tamtym człowiekiem? Zginął? Żyje? Dla nas to bez znaczenia. Zniknął i już. Więc może tam już nic nie ma? Mam dość. Jestem zmęczona.
Mijały godziny. Ida czekała. Stary nie wracał.
Znalazła go o świcie przy świeżo wykopanym grobie. Leżał na wznak, z łopatą w dłoni. Trumna stała obok. Jakby Śmierć tym razem chciała oszczędzić im pracy.
Zakopali go. Grudki ziemi głucho uderzały o wieko trumny. Obecne było całe miasto. Gudrik, Gudrik, czemu odszedłeś? Czemu to ciebie wybrała?
- Niektórzy mówią, że Śmierć musi być straszna i potężna. Ale ja myślę, że przypomina starą kobietę robiącą zakupy na targu. Kiedy znajdzie to, czego szukała, zabiera to i odchodzi. – Oris podeszła do Idy i objęła ją ramieniem. Ida spojrzała na Atę, córkę sąsiadów, która była w ciąży. „To się nigdy nie skończy.” Omal się nie roześmiała. „To się nigdy nie skończy.”
Po skończonej ceremonii ludzie rozeszli się do domów. Tonęli we mgle, gęstszej niż zwykle, przypominali cienie na ścianie znikające, kiedy zgaśnie ogień.

Wkrótce przy grobie została tylko Ida. Nie czekała na nic, po prostu nie miała dość siły, by odejść. Mgła wirowała wokół niej, przesłoniła wszystko: domy, mur, niebo. Miasto zniknęło.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

JoannaP, dodano 16.06.2016 16:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.